

Hajime!

Dobra. Zaczynamy.

Czy wiecie, co robi pan Marian Osiński, technik mechanik, lat dwadzieścia pięć, o szóstej wieczorem? O szóstej wieczorem pan Osiński zdejmując ubranie wyjściowe marki „Bytom”, wkłada kimono, składające się z bluzy „keyagi” i spodni „haka-ma”. Obie te rzeczy spleta z rutyną pasem „obi”. Po tych wstępnych czynnościach zdejmując jeszcze buty marki „Chelmek” i zakłada plastikowe japonki. Powinien jeszcze zdjąć obrączkę, którą był otrzymał na ślubie, ale nie zdejmując, ponieważ raz zdjął a potem stróż za nim biegał po ulicach i wołał: — „Panie Osiński, panie Osiński, pan coś zostawił...”

Tak przyodziany pan Osiński opuszcza szatnię Szkoły Podstawowej przy ulicy Brodnickiej w Szczecinie i udaje się do sali gimnastycznej tej samej szkoły. W trakcie przechodzenia z szatni do sali dokonuje się w panu Osińskim swoista metamorfoza. Jeszcze przed chwilą mógł sobie pozwolić na niejedno.

Ale w drzwiach sali gimnastycznej pan Osiński robi takie hokus-pokus i do sali wkracza już „sensei”.

Kiedy „sensei” wchodzi, sala na ogół jest już wypełniona do szczelności młodymi ludźmi płci



# Złamię mu rękę i bądź lepszy

PIOTR ZIELIŃSKI

Zdjęcia: MAREK

obojga w kimonach: przychodzi też tam pani czterdziestce, a także chłopiec lat dwanaście. Na widok „senseia” wszyscy ci ludzie stają jak pionem rażeni i następuje „seize-ho”, czyli podstawowa forma siedząca. W tej pozycji młodzież bije pokłony „senseiowi” i chyba słusznie, bo jest to wygimnastykowany człowiek, który nauczył ich przez półtora roku, jak swobodnie złamać komuś rękę w nadgarstku i poczuć się lepszym. Oczywiście, łap nie należy łamać, ponieważ prawdziwy „aikidoka” czeka na atak, sam nie atakuje. Ale skoro ktoś zaatakuje? Albo napadnie dziewczę samotne w parku? Czy takie dziewczę ma czekać na atak, czekać na najgorsze? Wtedy takie dziewczę wyczekuje aż napastnik złapie ją za pierś i po takim pierwszym wstrząsie, przerzuca draba przez plecy albo bok, łamiąc mu nadgarstek w ostatniej fazie lotu.

Niedawno salę gimnastyczną odwiedził znajomy któregoś z ćwiczących, zachęcony widać opowieściami. Przez półtorej godziny treningu naśmiewał się z ćwiczących, urągliwie zresztą. Na zakończenie treningu „sensei” polecił, aby grubianinem zajęła się dwunastolatka, ale nie za mocno. Dwunastolatek miał coś około czterdziestu kilo i sięgał grubianinowi do ramienia. Wszakże nie przeszkodziło mu to łomotnąć nim o podłogę, celując poza matę, co nie podpadało, ponieważ szczecińscy „aikidocy” za wielu mat nie mają. Grubianina upadek rozjuszył do białości i zaatakował dziecko z furją, twarz tracąc do reszty. Ale dziecko tylko na to czekało, bowiem nic tak „aikidoki” nie cieszy, jak ślepy atak przeciwnika. Grubianin poleciał raz jeszcze na podłogę, tyle że z większym łomotem.



Myliłby się jednak ten, kto wyciągnie wniosek, że „aikido” to szczególnie okrutna sztuka samoobrony. Niestety, tak nie jest. Optycznie „aikido” jest mieszaniną judo, kendo i karate. Tak naprawdę „aikido” to sztuka doskonalenia się, polerowania swojego charakteru tak, aby po pewnym czasie okazał się on lepszy. Tak postulował sam Morihei Uyeshiba, najwybitniejszy aikidoka naszego stulecia, którego charakteru nie złamały liczne wojny, które prowadził cesarz. Z ostatniej wojny charakter Uyeshiby wyszedł szczególnie udoskonalony, przez co mógł on z całym spokojem „aikido” polecić światu. Skorzystali na tym Czesi, którzy zawsze lubili różnego rodzaju nowinki. Kiedy było modne tam kendo, opowiedzieli się za judo, a kiedy już judo się przyjęło, całym sercem zagłosowali za „aikido”. Właśnie w Czechosłowacji „sensei” zapoznał się z tym sportem i rozpoczął przygotowanie aikidoków — Polaków. Ale Polacy nie Czesi. Długo trzeba było przekonywać TKKF w Szczecinie do idei „aikido”. Potem jeszcze dłużej werbować chętnych. W efekcie „aikidocy” pana Osińskiego dostali od TKKF „Orkan” dziesięć mat, aby ich upadek nie był zbyt bolesny. Więcej mat TKKF „Orkan” dać nie chciał, ponieważ dbał, aby upadek własny nie był nazbyt widowiskowy.

Przez półtora roku „sensei” ćwiczy setkę swoich „aikidoków” i już widać efekty. Ci, co potrafią zrobić przeciwnikowi bolesne kuku, szyją sobie „hakama” czarne, ci, co jeszcze tego nie potrafią, chadzają w białych.

Yame! — Zatrzymać się!

I wszyscy zatrzymują się. Dyscyplina jest cholerna. Gdybyśmy mieli taką — dajmy na to — w fabryce magnetofonów „Kasprzak” w Warszawie — nie tylko magnetofony by się nie psuły, ale za wojowałibyśmy nimi wszystkie rynki Trzeciego Świata, a tam — wiadomo — siedzi już Japonia. „Sensei” woła „mawate” i — proszę — wszyscy się odwracają. Albo woła „mate” — i wszyscy przerywają ćwiczenia.

Sore — made! — Koniec ćwiczeń!

Kiedy „sensei” nakazuje koniec ćwiczeń, rzuca następne hasło — „mokuso”! I otóż „mokuso” jest najciekawsze. Podczas „mokuso” wszyscy kucają i milczą. Milczą tak intensywnie, że niektórym słychać, co jedli na obiad. W takich wspólnie przeżywanych momentach charaktery doskonalą się najlepiej. Wśród milczących dają się zaobserwować zachwycone twarzyczki uczniów, z których każdy chciałby być jak najszybciej nastojaszczym Japońcem. Widać również zdyscyplinowanych studentów, co jest zjawiskiem u nas szalenie rzadkim. Wiem, ponieważ u mnie roznoszą mleko studenci właśnie. Najpierw budzili mnie o czwartej każdego ranka, mówiąc przez drzwi „mleko!” Potem przestali dzwonić o czwartej, ale mleko, raz jest, raz nie. Częściej nie. I otóż chciałoby się zawołać — Yame!

Po układach i medytacjach „sensei” wychodzi z sali i na korytarzu jest znowu panem Marianem Osińskim, cenionym pracownikiem Szczecińskiej Stoczni Remontowej „Gryfia”, zmęczonym „aikidoką” po czterech godzinach treningu. Wraca do domu pieszo, aby z lekka się dotlenić. Sala gimnastyczna kosztuje „aikidoków” dwa czterysta miesięcznie, ale wentylacji tam nie ma specjalnie. Dlatego „aikidocy” czekają na lato, kiedy będą mogli trenować w parkach.

Szczecińscy „aikidocy” są tak osamotnieni w PRL, jak ludzkość we Wszechświecie. To znaczy być może ktoś tam chałupniczo trenuje, ale na odzywkę — „yo!” na przykład — nie odpowiada.

Pan Osiński, zmęczony, wchodzi do domu i po ciemku szuka kontaktu przy drzwiach. I wtedy słyszy straszny krzyk i coś mu niespodziewanie spada na plecy. To małżonka pana Osińskiego, o której co prawda nie zapomina nigdy, ale zapomina, że trenuje ona od wielu lat judo. Niestety. Bo o żonach na ogół nie zapominamy, zdarza nam się zapominać jednak, co one robią po godzinach pracy.

